

Michał Jaskólski

## Problem systematyzacji doktryn politycznych na tle rozważań Marka Sobolewskiego

Czterdzieści lat temu w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” Marek Sobolewski opublikował artykuł zatytułowany *Historia współczesnych doktryn politycznych. Próba systematyzacji*<sup>1</sup>. Wraz z kilkoma innymi artykułami napisanymi w różnym czasie dały one jasny obraz tego, co Autor sądził i postulował w wykładzie i badaniu doktryn politycznych wówczas dla niego aktualnych. Jest sprawą oczywistą, że dla uczonego i wykładowcy tegoż przedmiotu nie ma bardziej niebezpiecznego i zarazem nieprzewidywalnego gruntu niż współczesność. Są to te same problemy, jakie napotyka badacz zagadnień czasu, w których przypadku łatwiej jest stwierdzić, co było przeszłością, co może być przyszłością, lecz tego, co jest czasem teraźniejszym, nie sposób już zdefiniować jednoznacznie.

Wiemy na pewno, że współczesność Marka Sobolewskiego jest dziś przeszłością, jego rozważania mają więc już wymiar i walor historyczny. I to jest jedna z dwóch perspektyw, z jakich należy na ów artykuł spojrzeć. Druga ma szerszy wymiar metodologiczny i odnosi się do problemu periodyzacji i systematyzacji doktryn politycznych – każdy autor podejmujący to zadanie już z natury rzeczy dokonuje własnej interpretacji historii. Własnej, bowiem wedle swej wiedzy dzieli ją na okresy i wybiera z niej to, co uznaje za ważne czy reprezentatywne dla danej epoki.

---

<sup>1</sup> „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1973, R. XXV, z. 1, s. 131–155. Artykuł ten został włączony do zbioru M. Sobolewski, *Pisma niezbrane i rozproszone*, red. K. Chojnicka, M. Jaskólski, Kraków 2003, s. 41–60. Dalsze powołania i cytaty w przypisach opierają się na tym wyborze.

Artykuł ten miał zresztą również swoje dwa nieco inne cele wyraźnie zarysowane przez Autora. Pierwszym było wskazanie ewentualnych problemów badawczych, ku którym należało zmierzać, dokonując oglądu współczesnego świata idei, i jednocześnie ukazanie stanu nauki polskiej w tym względzie. Drugim – równoległym i komplementarnym – był cel porządkująco-dydaktyczny, zmierzający do zapanowania nad swoistym szumem i chaosem rzeczywistości, jaki towarzyszy uczącym się przyszłym prawnikom czy politologom. Oczywiście sprawą pozostawały znamienne warunki historyczne, w jakich przyszło pisać M. Sobolewskiemu.

Rok 1973 był przecież niemal apogeum „Gierkowskiego cudu” gospodarczego i społecznego, niosącego poprawę bytu materialnego, względną stabilizację, ale także krótkotrwałą, podobnie jak sam „cud”, rozluźnienie gorsetu cenzury i większej swobody w zakresie badań naukowych. PZPR świętowała swoje dwudziestopięciolecie. W Krakowie na deskach Teatru Starego po raz pierwszy od 1968 roku wystawiono *Dziady* w inscenizacji Konrada Swinarskiego, w Nowej Hucie zaś odsłonięto pomnik Włodzimierza Iljicza Lenina. Polska reprezentacja piłkarska zremisowała na Wembley. W tym czasie trwał rząd Piotra Jaroszewicza, który z niewielkimi zmianami personalnymi miał egzystować aż do strajków w Radomiu i Ursusie w 1976 roku.

Świat wydawał się pozornie stabilny w ramach dominującego układu bilateralnego między USA pod prezydenturą Richarda M. Nixona i ZSRR, na którego czele stał jeszcze Leonid Breżniew w kwiecie wieku. Europa trwała w podziale pojałtańskim i nic nie wróżyło jakichkolwiek zmian. Toczyła się wojna wietnamska, choć w Paryżu podpisano przejściowe zawieszenie broni. Prawica i wojsko, przy poparciu i aprobachie USA, obaliły w Chile legalny socjalistyczny rząd Salvadora Allende, wprowadzając na długie lata dyktaturę wojskową. Najważniejszym wydarzeniem militarnym stała się tak zwana wojna Jom Kippur zainicjowana przez zjednoczone siły Egiptu i Syrii, które zaatakowały Izrael, by po początkowych sukcesach ostatecznie zostać odepchniętymi poza Kanał Sueski i przyjąć niezbyt dla nich chwalebne zawieszenie broni. Wydarzeniem dyplomatycznym stała się wizyta dyplomatyczna Henry’ego Kissingera w Chinach stanowiąca rzeczywiste „nowe otwarcie” w polityce USA i CHRL. W sumie jednak, mimo gróźb padających z ust liderów obu mocarstw, nic nie zwiastowało rychłego konfliktu w skali globalnej.

W świecie idei politycznych pozornie też nie dochodziło do rewolucyjnych przewartościowań i dlatego wydawało się, że oceny Marka Sobolewskiego mają charakter głównie syntetyzujący i systematyzujący. By jednak zrozumieć głębszy sens ich powstania, należy się cofnąć do pierwotnego sądu, jaki niejednokrotnie wyrażał Autor w swych wykładach i wypowiedziach na seminarium. Otóż jego zdaniem wiek XX nie był wiekiem ideologii nowych. Wprawdzie stulecie to odcisnęło swe niezatarte piętno w postaci dwóch wojen światowych oraz w skrajnie negatywny sposób wykreowało nowe formy ustrojowe w postaci dwóch totalitaryzmów, lecz i te korzeniami ideowymi tkwiły w wieku minionym. „Nowe” kierunki myślenia politycznego, często powstające pod wpływem doraźnych impulsów dochodzących ze świata polityki, w gruncie rzeczy były jedynie interpretacjami i kolejnymi metamorfozami idei zrodzonych w wiekach wcześniejszych, które w XX wieku osiągnęły niejako pełnię dojrzałości swego rozwoju.

Od problemu periodyzacji i określenia tego, co Profesor Sobolewski rozumiał przez „współczesność”, rozpoczynał się cały jego wywód. Oczywiście uznanie roku 1918 za początek „czasów najnowszych” (takiego pojęcia używał Autor) wydaje się trudne do zakwestionowania z perspektywy wydarzeń historycznych, zamykał bowiem to, co określamy mianem wieku XIX. Z pewnością jednak nie przerywała płynącego własnym nurtem strumienia myśli filozoficznej, społecznej czy politycznej. Jest to problem znany każdemu badaczowi idei, których ciąg przez wieki nie poddaje się ostrym cezynom o charakterze faktograficznym, a więc nie jest do końca podatny na utrwaloną w historii periodyzację. W tym wypadku ustalenie cezury początkowej, chociażby ze względów dydaktycznych, wydawało się koniecznością. W odróżnieniu od tej cezury, która została potraktowana już jako w pełni historyczna (tak interpretowany był przezeń obraz ideowych przemian międzywojnia), dla „współczesności” jako datę początkową rezerwował M. Sobolewski rok 1945, wskazując, iż był on początkiem rzeczywistości polityczno-ideowej otaczającej go w chwili tworzenia artykułu. I w tym wypadku trudno ową datę kwestionować.

Z układu treści artykułu i podziału nurtów ideowych wynika, że podstawowym *criterium divisionis* stał się dlań wzrost lub spadek popularności partii i stronnictw politycznych odgrywających rolę zasadniczą w życiu państw europejskich i Stanów Zjednoczonych. Jest to całkowicie

zrozumiałe z punktu widzenia jego zainteresowań, w rok później ukazała się bowiem jego fundamentalna praca *Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego*, wykorzystywana do dziś<sup>2</sup>.

W ślad za tym podążał postulat metodologiczny, zachowujący do dziś swoją aktualność, mianowicie konieczność badania dokumentów programowych partii i stronnictw, wypowiedzi polityków czy wszelkich materiałów propagandowych, nie wspominając o prasie i innych mediach. W artykule znajdowała się ponadto druga wskazówka metodologiczna, zwracająca uwagę czytelnika na brak w polskiej literaturze analizy zachodnich podręczników akademickich. Jak pisze Profesor Sobolewski: „Wszak są to dzieła, na których kształci się elita intelektualna i masa inteligencji każdego kraju, z których czerpie nie tylko znajomość świata, ale także w pewien sposób i jego interpretacji”<sup>3</sup>. Problem ten M. Sobolewski szeroko rozwinie w opublikowanym w trzy lata później na łamach „Historyki” równie fundamentalnym artykule *Niektóre problemy teorii i metodologii historii doktryn politycznych i prawnych*, który do dziś nie utracił rangi jednego z najważniejszych tekstów z dziedziny<sup>4</sup>.

W dorobku M. Sobolewskiego można zauważyć pewne subiektywne preferencje Autora oraz jego naukowe fascynacje. Zarówno w przeszłości, jak i w czasach sobie współczesnych dostrzegał on szczególne znaczenie nurtu liberalnego, któremu poświęcał najwięcej rozważań. Mniej interesował go w tym wypadku historyczny ortodoksyjny liberalizm i jego kontynuatorzy w rodzaju Friedricha Hayeka czy Wilhelma Röpkego, zwracał uwagę czytelnika na fakt przemian zachodzących w kwestii własności prywatnej i braku interwencjonizmu państwowego. Tu dostrzegał ewolucję stanowisk zmierzającą, wśród nurtów chadeckich z jednej strony i prawicy socjaldemokratycznej z drugiej, ku znacznym ustępstwom z fundamentalistycznego rozumienia własności prywatnej tudzież zgody na ograniczoną rolę interwencji państwa, zwłaszcza w kwestiach społecznych. Po części dostrzegał też ewolucję w odchodzeniu od skrajnego indywidualizmu, z jakim były niegdyś traktowane jed-

---

<sup>2</sup> M. Sobolewski, *Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego*, Warszawa 1974.

<sup>3</sup> M. Sobolewski, *Pisma...*, s. 52.

<sup>4</sup> „Historyka” 1976, t. VI, s. 3–17.

nostka i jej nienaruszalne prawa (społeczeństwo to agregat jednostek), na rzecz osadzenia jej w kontekście „naturalnej grupy społecznej”, choć oczywiście różnie rozumianej przez chadeków i socjalistów. W sumie, poza wąską grupą ortodoksyjnych liberałów odwołujących się do – wybranych zresztą – fragmentów dzieł Johna Stuarta Milla, Benjamina Constanta czy Alexisa de Toqueville’a, Profesor Sobolewski widział we współczesnym liberalizmie nurt nieustannie ewoluujący pod wpływem wydarzeń politycznych, gospodarczych czy socjalnych, niezatracający oblicza demokratycznego, choć uginający się pod presją wzrostu znaczenia partii politycznych i grup nacisku. W sumie dostrzegał też ogromną zdolność akomodacyjną liberalizmu, z czego jedynie można wysnuć wniosek (stwierdzeń *expressis verbis* brakuje), że widział w nim ogromny potencjał przyszłościowy.

W ślad za wzrostem presji społecznych żądań wobec demokracji liberalnej równowagą stawały się dlań idee państwa socjalnego łączone niezbyt fortunnie nazwą *welfare state*, choć dostrzegał w nich dominację partii i ugrupowań lewicowych z socjaldemokratycznymi na czele. W tym wypadku M. Sobolewski nie rozwinął problemu szerzej, ograniczając się do przedstawienia stanu nauki wedle polskich opracowań na ten temat.

Podobny wzrost znaczenia przypisywał też programom i partiom chadeckim, wskazując jednocześnie na oscylowanie ich wokół idei zarówno liberalizmu, jak i „państwa dobrobytu”. Zostały one włączone w myśl chrześcijańską z ideami soborowymi na czele, spotykając się jednocześnie z odnową różnych koncepcji prawnonaturalnych, która nastąpiła po II wojnie światowej. Także w tym wypadku Autor nie pogłębił swoich rozważań, ograniczając się do odnotowania ich miejsca w świecie myśli politycznej.

Odmienne rzecz się ma z różnymi odcieniami idei zaliczanych przez M. Sobolewskiego do nurtów prawicowych. Tu jednak Autor opatrzył znakiem zapytania problem, czy przedstawiciele tego kierunku są istotnie prawicowcami w dawnym tego słowa znaczeniu. Chodzi mu raczej o grono pisarzy politycznych wywodzących się z kręgu zarówno liberałów, jak i konserwatystów tudzież grona socjologów budujących różne wizje społeczeństwa masowego i państwa industrialnego i postindustrialnego o tyle reakcyjnych, o ile głoszą zmierzch liberali-

zmu i nastający koniec demokracji. Koncepcji niestanowiących zwartej całości, lecz odrębne w swych założeniach i wnioskach prognozy przyszłości. Poczynając od Joségo Ortegi y Gasseta i jego *Buntu mas* poprzez prace Karla Mannheima, Ericha Fromma, Raymonda Arona do Jamesa Burnhama. Komentując tych pisarzy, Sobolewski trafnie dostrzegł u nich te prognozy, które już w momencie pisania artykułu zaczęły się potwierdzać lub miały stanowić trafne przewidywania przyszłości. Wystarczy w tym wypadku przytoczyć te fragmenty z Mannheima i jego *Diagnoz naszego czasu*, które dotyczyły rozwoju komunikacji społecznej powodującej z jednej strony szybkie, gwałtowne zmiany w poglądach, niepozostawiające czasu na ich asymilację przez człowieka, a zatem zmniejszające zdolność adaptacji w stosunku do zachodzących przemian. To samo da się stwierdzić, odnosząc się do eksponowanych przez Profesora Sobolewskiego zmian w zakresie pomnożenia znaczenia religii, oderwania wielkiej własności przemysłowej od pracy, koncentracji władzy politycznej dokonującej erozji instytucji demokratycznych i zobojętnienia obywateli wobec spraw publicznych, *ergo* utrwalanie władzy elit etc. Podobną wykładnię zastosował w stosunku do *Ucieczki od wolności* Fromma, *Końca wieku ideologii* Arona czy *Rewolucji menedżerów* Burnhama. Wprawdzie te właśnie poglądy uznawał M. Sobolewski za prawicowe, stwierdzając w konkluzji, że jest to „nowa wersja absolutyzmu oświeconego, w którym obfitości dóbr odpowiadać ma zuniforimizowane i ślepo posłuszne społeczeństwo konsumpcyjne”, nawet jeśli była odnoszona do przyszłości<sup>5</sup>. Nie jestem jednak do końca pewien, czy Autor przynajmniej w części z owymi prognozami się nie zgadzał. W każdym razie, obok uwag o rozwoju liberalizmu jest to najobszerniejszy fragment artykułu.

Pozostałe jego części, poświęcone doktrynom, Nowej Lewicy, tak zwanemu Trzeciemu Światu czy wreszcie ideologii komunistycznej, są już znacznie skromniejsze. Nowej Lewicy Autor nie rokował zbyt długiego bytu politycznego z racji podłoża społecznego, na jakim się zrodziła. Społeczeństwo konsumpcyjne jego zdaniem już zaakceptowało istniejący stan rzeczy jako wygodny, a więc protest w rodzaju rewolty studenckiej 1968 roku wykazuje się eklektyzmem ideowym oraz ma zbyt

---

<sup>5</sup> M. Sobolewski, *Pisma...*, s. 57.

słabe korzenie, by znaleźć w przyszłości akceptację szerszych kręgów społecznych. Autor w przypadku doktryn Trzeciego Świata wskazywał na znaczne uproszczenie ich obrazu ze względu na właściwą im narodową specyfikę, zaszłości historyczne, religie i tradycje oraz zasadnicze różnice kulturowe. Był to w jego opinii obraz albo spłaszczony, albo zgoła fałszywy. Trafnie przewidywał w tym wypadku ewolucję na przykład Ruchu Kongresowego, Kuomintangu czy kemalizmu, a także rozkwit nowych nacjonalizmów narodowych czy plemiennych prowadzących do wojen domowych lub właśnie plemiennych i swoistego rasizmu *à rebours*. Ideologię komunistyczną i jej ewolucję po śmierci Stalina Autor zminimalizował do stopnia możliwego do zaakceptowania przez cenzurę, co jest wyraźnie widoczne. W zasadzie ograniczył się tu do konstatacji, wagi i znaczenia tegoż problemu naukowego, ale jak stwierdził: „Nie omówię tu szerzej tego tematu. Wykracza on poza moje dotychczasowe zainteresowania, a mamy w kraju wielu badaczy, całe ośrodki, w pełni kompetentne do jego podjęcia”. Nie bez sarkazmu skonstatował: „Jednak nie mamy w kraju obszerniejszej literatury poświęconej całościowemu omówieniu powojennej historii marksizmu i leninizmu”<sup>6</sup>.

Omawiany artykuł M. Sobolewskiego przedstawiał stan rzeczy aktualny w czasie, kiedy powstał. Autor dostrzegał w nim wyraźnie odrębny status tej prezentacji od ujęć historycznych. Innymi słowy, pokazywał świat doktryn w ruchu niejako w momencie ich „dziania się”. Była to próba pokazania dynamiki tego świata i w tym względzie różnił się on od różnorodnych wstępów czy zakończeń będących w obiegu podręczników. Na trafne diagnozowanie przyszłości bez uciekania w jałowy w sumie profetyzm M. Sobolewski nie mógł i nie chciał sobie pozwolić i wołał ograniczyć się do zasygnalizowania problemu, jak w wypadku doktryn Trzeciego Świata czy stagnacji w rozwoju myśli marksistowsko-leninowskiej. Należy jednak w pełni docenić odwagę Autora w podjęciu tego tematu, dlatego że artykuł ten jest dziś obrazem czasu minionego, niejako fotografią stanu rzeczy sprzed lat 40, a więc stanowi zarazem część historii nauki.

---

<sup>6</sup> Tamże, s. 59–60.

W tym momencie powinienem przejść do refleksji własnej nad systematyzacją świata doktryn czy idei politycznych w roku 2015. I tu rodzi się moja podstawowa wątpliwość w kwestii możliwości i sensu dokonywania dziś takiej prezentacji. Spróbuję pokrótce wyjaśnić to stanowisko.

Nie sądzę, by świat idei politycznych w ciągu minionych 40 lat uległ zmianie w tym sensie, by stopień jego komplikacji wzrósł. Stopień chaosu i rozproszenia, czyli entropii, zazwyczaj pozostaje niezmienny w danym momencie czasowym. To tylko perspektywa historyczna, w tym wypadku 40 lat, powoduje, że obraz ten wydaje się bardziej przejrzysty i łatwiejszy w ocenie. Stopień skomplikowania owych czasów wcale nie był mniejszy, zarówno w sferze idei, jak i praktyki politycznej. Najwyżej sprawniej działała bariera informacyjna w ramach bilateralnego układu świata, tamująca dopływ wiadomości i wiedzy politycznej, nie wspominając już o możliwościach komunikacyjnych, nieporównanie uboższych w porównaniu z czasami nam współczesnymi. Znając więc dziś skutki ówczesnych działań, jesteśmy mądrzejsi tylko w takim zakresie, na jaki nam pozwala upływ czasu, oddalona perspektywa, a cały ten łańcuch przyczynowo-skutkowy zatrzymuje się tylko na chwilę, na tym ostatnim ogniwie, którym jest dzisiaj. I to ogniwo staje się właśnie przedmiotem prób systematyzacji, które bez dystansu czasowego będą zawsze diagnozą powierzchowną i uproszczoną.

Wystarczy zająć się kwestią periodyzacji. Trudno jest kwestionować daty wskazane przez Profesora Sobolewskiego, to jest 1918 roku jako początku XX wieku oraz 1945 roku jako daty ustalającej nowy ład światowy i europejski po II wojnie światowej, i można ją uznać za M. Sobolewskim za początek „czasów najnowszych”. Ewentualny spór może się rozpocząć dopiero teraz i dotyczyć co najmniej kilku dat mogących wyznaczać cezurę początkową tego, co dziś uznamy za „współczesność”. A za współczesność uznać by należało te zjawiska i procesy polityczne i ideowe, które rozpoczęły się przynajmniej w „czasach najnowszych” i które – co najważniejsze w moim rozumieniu współczesności – trwają, a więc mają jakąś stabilność czasową. Dokonuję więc swoistego przesunięcia na osi czasu, uznając lata 1918–1945 za okres zdecydowanie już historyczny. Cezury lat następnych pozostaną przedmiotem dyskusji.



Oczywiście dla owej współczesności składającej się z ogromnego ciągu wydarzeń i procesów można wyznaczać cezurę początkową w zależności od aspektu i perspektywy, którą zakłada jej hipotetyczny badacz. Przykładowo, dla historyka zajmującego się zmianą układu sił mocarstw w skali globalnej będzie to zapewne rok 1989 i rozpad ZSRR. Podobną datę wskaże niewątpliwie część historyków polskich, niemieckich, rosyjskich czy dawnych państw tak zwanej demokracji ludowej. Dla historyka zajmującego się już wycinkowo na przykład problemem rozwoju fundamentalizmów religijnych w skali globalnej czy terroryzmem światowym w tym aspekcie będzie to zapewne data 11 września 2001 roku lub, w zależności od wnikliwości historycznej, przełom lat 1979/1980 i ukonstytuowanie się Republiki Islamskiej w Iranie. Dla badających wpływ rewolucji informatycznej na wydarzenia polityczne tudzież kształtowanie się nowych form idei politycznych oraz ich wzmożony przepływ mogą to być całkiem symboliczne daty – rok 1973, czyli pierwsza prezentacja telefonu komórkowego przez Motorolę, 1981 – prezentacja pierwszego komputera osobistego przez Microsoft lub udostępnienie Internetu dla ogółu użytkowników w 1991 roku. Przykłady te można mnożyć i każdy z nich ma swoją wagę, bowiem skutki cywilizacyjne, *ergo* społeczne, polityczne i ideowe wszystkich tych dat wyraźnie wskazują na ich nie do końca dookreślony związek i całkowitą nieprzewidywalność w przyszłości. Zakładając, nawet na potrzeby tego artykułu, że hipotetyczną datą końca wieku XX jest rok 1989, wejście we współczesność nie przestaje być problematyczne z punktu widzenia systematyki idei czy doktryn politycznych.

Jeśli w jakiejś mierze nadal stosować przyjęte przez M. Sobolewskiego wskazówki metodologiczne i zaobserwowane przezeń tendencje zmian w świecie idei, postrzeganych przez pryzmat partii politycznych i ich programów, to nie wychodząc poza obręb świata europejskiego i USA, dostrzegamy rozwój i pogłębianie się tendencji do zacierania granic ideowych. To, co dostrzegał Autor, pisząc o zbliżeniach na przykład koncepcji liberalnych do idei socjaldemokratycznych czy koncepcji państwa socjalnego, uległo w praktyce, zwłaszcza wyborczej, partii pogłębieniu. W moim przekonaniu dokonania myślicieli i twórców idei politycznych wobec działań i manipulacji wyborczych w najlepszym wypadku odgrywają rolę już nie drogowskazu, lecz co najwyżej argumentu

w dyskusji, trafiającego zresztą tylko do wybranych przez „spin doctorów” kręgów społecznych. Trudno w wystąpieniach przedwyborczych na przykład François Hollanda odnaleźć rudymentarne i podstawowe wartości ideowe, które niegdyś uformowały oblicze jego partii, podobnie jak ostatnio u Angeli Merkel w odniesieniu do historycznych korzeni jej stronnictwa. Partie polityczne czy ewoluujące systemy partyjne zawsze były barometrem zmian następujących nie tylko w sferze nastrojów społecznych, lecz także ewolucji w ramach różnorodnych ideologii i o tyle jest to instrument wartościowy. Jeśli jednak przyjąć tezę o rozmywaniu się pewnych wartości, niegdyś podstawowych, a dziś raczej marginalnych czy granicznych, to płynący stąd wniosek byłby dla ideologii liberalnej, socjaldemokratycznej, chadeckiej czy *welfare state* dość jednoznaczny i sprowadzałby się do zatracania pierwotnego charakteru na rzecz „rozmiękczenia” ich kiedyś twardego kośćca ideowego. Wszak na przykład w filozofii prawa, niegdyś ostro odcinającej stanowisko prawnonaturalne od pozytywizmu w wersjach radykalnych, dziś mówimy i nauczamy o koncepcjach „miękiego” iusnaturalizmu czy iuspozytywizmu. Dlatego obecnie, po zmianie układu globalnego i jego skutkach polityczno-gospodarczych, które nastąpiły w naszym kręgu cywilizacyjnym, instrument ten w rozpoznawaniu podziałów doktrynalnych wydaje się niewystarczający.

Podobnie rzecz się ma z inną przesłanką metodologiczną, jaką jest stan badań nad podręcznikami akademickimi jako źródłem oddziaływania określonych doktryn przynajmniej na uczącą się część społeczeństwa. Problemem pozostaje sama liczba tych podręczników, zdolność ich rzeczywistego oddziaływania i kształtowania postaw, wreszcie szerokość kręgu, do którego mogą one dotrzeć. Przyznaję, że na gruncie jakiegoś wąskiego wycinka badanie to jest możliwe i pożyteczne. Możemy pod tym kątem zbadać na przykład podręczniki funkcjonujące w dziedzinie historii doktryn w Polsce, łącznie z tłumaczeniami podręczników zachodnich, i mniej lub bardziej trafnie orzec, które z nich kładą szczególny nacisk na te czy inne doktryny współczesne, jakie były kryteria ich wyboru, jakie wprowadzono w nich podziały wewnętrzne, jacy wreszcie przedstawiciele zostali w tym wyborze uwzględnieni, a jacy pominięci. Nie dowiemy się natomiast, jak wyglądał ich rzeczywisty wpływ na światopogląd słuchaczy bądź czytelników, nie dowiemy się też, czy w ogóle owa

systematyka została zrozumiana, a coś dopiero zaakceptowana. Oczywiście celem hipotetycznego autora czy autorów jest pewne zadanie dydaktyczne, przed którym stoją, i zakładam, że pragną je jak najlepiej spełnić. Nie oznacza to jednak, że wybór, jakiego dokonali, nie uległ daleko idącej subiektywizacji i pozostając jednak wyborem, nakreślił obraz daleko odbiegający od złożoności ideowej świata, z którym na co dzień uczący się obcuje w mediach, z Internetem na czele.

Pozostawiając na boku moje wątpliwości w zakresie aplikacji, skądinąd słusznych, postulatów metodologicznych, chciałbym zatrzymać się przez chwilę nad szerszym nieco spojrzeniem na ogólny sens tworzenia takich systematyzacji w czasach obecnych. A ów sens koresponduje z przytoczoną na początku tezą M. Sobolewskiego, że wiek XX nie był wiekiem nowych idei politycznych. Niedawno zresztą Jan Hartman w wywiadzie na łamach „Gazety Wyborczej” stwierdził, że stulecie to było jedynie „przetrawianiem” wielkich idei i wielkich pytań zadanych w wieku XIX i wiekach wcześniejszych. Rodzi to dość oczywiste pytanie, czy wiek XXI jest lub będzie tym właśnie czasem, gdy owe nowe, „nieprzetrawione” idee powstaną i jakie będą miały oblicze. Można odnieść wrażenie, że kolejne mutacje doktryn prawicowych, centrowych czy lewicowych ani nie wydają już nowych, wielkich myślicieli, ani nie zadają równie wielkich pytań. Można sądzić, i takie jest moje odczucie, że pula dotychczasowych pytań, podobnie jak odpowiedzi, została wyczerpana, a w każdym razie nie odpowiada teraźniejszości.

Przyczyną tego stanu rzeczy może być swoiste zużycie się tych ideologii, źródłem tego jest zaś odmiennosc oczekiwań wobec skali zmian zaszłych w wymiarze globalnym. Nie oznacza to żadnego „zmierzchu ideologii”, jak prognozował niegdyś Aron, ani „końca historii” wieszczonego niezbyt fortunnie przez Fukuyamę, lecz określone zmiany natury jakościowej. Warto przez chwilę się nad nimi zatrzymać, choćby nawet przytoczona tu egzemplifikacja była subiektywna i niespójna.

Przykład ten jest tak szeroki, że problem ideologii współczesnych jest zaledwie wycinkiem czy marginesem i raczej ich skutkiem niż przyczyną. Jest nim wspomniany już kilkakrotnie rozpad świata dwubiegunowego. I nie mam tu na myśli tylko rozpadu ZSRR i częściowego ograniczenia jego strefy wpływów (dziś z wyraźną próbą jej odbudowania przez Władimira Putina) oraz odejścia od dogmatycznie już pojmowa-

nych i wypranych z nowych treści pryncypiów marksizmu i leninizmu, czyli to zjawisko, które sygnalizował Samuel P. Huntington i wielu jego zwolenników lub polemistów. Zjawisko wielobiegunowości we wszystkich możliwych jej aspektach, w tym również ideowo-politycznym, stało się pewnym faktem. Systematyzacja doktryn politycznych w tym zakresie obecnie nie może się ograniczyć do idei Zachodu bez poznania przynajmniej na tym wycinku doktryn konkurencyjnych zrodzonych w innych regionach świata, reprezentujących zgoła odmienne wartości cywilizacyjne, religijne, kulturowe i wyrastające z całkowicie odmiennych historycznie korzeni. Świadomie przywołałem tu Huntingtona, bo bez względu na to, czy zgadzamy się z jego wnioskami, czy też nie, jego diagnoza z 1996 roku w wielu aspektach zachowała swą prawomocność<sup>7</sup>.

To, co w wielu wypadkach określano dawniej jako Drugi czy Trzeci Świat, dziś zdobywa sobie pełnoprawne miejsce w kolejnych strefach wpływu, nieustannie zmienia swoje własne oblicze, pomnaża liczbę ideologii, a wszystko to wyrasta może jeszcze pod naciskiem cywilizacyjnym Zachodu, lecz na gruncie i z korzeni zupełnie odmiennych. Stanowi tym samym i alternatywę, i opozycję. Jako klasyczny i powtarzany do znudzenia przykład podaje się ekspansję państw islamu rozciągającą swe wpływy poza genetyczny obszar Bliskiego Wschodu i sięgającą w głąb Azji, państw Pacyfiku i rozległych obszarów Afryki. Postrzeganie islamu w większości podręczników – jeśli w ogóle jest tam dlań miejsce – ogranicza się do obrazu dość w sumie płaskiego, bez zauważania, że to nie tylko religia, ukształtowane przez nią światopogląd i prawo, ale też zróżnicowana wewnętrznie ideologia, a więc zespół konkurujących z sobą doktryn politycznych. Oceniając to nieco sarkastycznie, można by rzec, iż równie dobrze islam mógłby traktować chrześcijaństwo jako całość, nie dostrzegając w nim żadnych różnic doktrynalno-społecznych. Nie zrozumie się przemian politycznych i ideowych Chin bez gruntownej analizy taoizmu, konfucjanizmu tudzież ich podłoża religijnego, a podobnie rzecz się ma z Indiami czy nawet pozornie „zamerykanizowaną” Japonią. Innymi ideami politycznymi rządzą się społeczeństwa bynajmniej niedążące do „obywatelskości” i prawdopodobnie jej nieakceptu-

---

<sup>7</sup> Oczywiście chodzi tu o S. Huntington, *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2008.

jące z racji własnej, zgoła odmiennej, coraz bardziej świadomej i zarazem konkurencyjnej wobec Zachodu tożsamości cywilizacyjnej. Te społeczeństwa, które jeden z publicystów określił mianem „owadzych” (bez pejoratywnego zabarwienia) i zarazem wysoko zorganizowanych, a które wyrosły, kultywując zbiorowy wysiłek społeczny oparty na silnie rozbudowanej więzi rodzinnej wraz ze zbiorowym podziałem pracy, dalekie są od zachodniego „obywatela” jako suwerennej jednostki i różnorodnych koncepcji indywidualistycznych zwłaszcza wolności, także w wymiarze politycznym<sup>8</sup>. Może to być mało zrozumiałe dla Europejczyka lub Amerykanina, lecz jest akceptowane i praktykowane w Chinach, Indiach czy Japonii. Wzrost ich potęgi gospodarczej i wpływu na losy świata zapewnia im pozycję wystarczającą, by na skromnym odcinku systematyzacji doktryn współczesnych zajmować miejsce, którego nadal nie posiadają. Już samo to wobec skromnej, własnej wiedzy skłania mnie do stwierdzenia, że budowa systematyzacji doktryn współczesnych powstać by mogła jedynie na zupełnie odmiennych fundamentach, *ergo* musiała by być całkowicie odmienna.

Dochodzi tu jeszcze jeden argument, który przewijał się przez ten artykuł kilkakrotnie, a który powinien znaleźć w tym wypadku przynajmniej godne siebie miejsce. Jest to kontynuacja wątku wskazanego przez M. Sobolewskiego w ramach omawiania doktryn prawicowych, dotyczącego prognoz Mannheimowskich odnośnie do rosnącej roli mediów i ich relacji do społeczeństwa. Znalazły one dziś potwierdzenie, choć w innym wymiarze niż mógł to sobie wyobrażać ich autor. Skupię się tu wyłącznie na roli Internetu i to tylko w aspekcie relacji do świata idei politycznych.

Internet, jako globalna dziś sieć komunikacji, zasługuje na uwagę z co najmniej kilku względów. W politologii eksponuje się najczęściej jego politycznie i społecznie pozytywną i zarazem negatywną rolę. Nie rozwodząc się zbytnio, sprowadzić tę dyskusję można z jednej strony do argumentów głoszących możliwość swobodnego przepływu informacji i forum wymiany poglądów na wszelkie tematy, a z drugiej strony,

---

<sup>8</sup> Niestety nie jestem w stanie podać nazwiska uczestnika dyskusji telewizyjnej, który użył tego określenia, lecz niewątpliwie stanowiło ono odwołanie do słynnej i klasycznej w biologii pracy E.O. Wilsona, *Spółczeństwa owadów*, przeł. D.H. Tymowska, Warszawa 1979.

jako narzędzie kontroli państwa i indywidualnie aplikowany instrument kontroli obywateli. Stworzenie telefonii komórkowej i smartfonu otworzyło pole do takowego właśnie użytkowania Internetu. Sieć rozpięta pomiędzy tymi biegunami daje potencjalne możliwości działania na obu wektorach jej zasięgu. W tym też zakresie możemy mówić również o rozprzestrzenianiu się idei czy doktryn politycznych, jak również o możliwości ich kontrolowania lub manipulowania nimi. Jest to problem dość oczywisty i znany.

Jest to zarazem pierwsza z możliwości rozpatrywania nowego oblicza różnych grup idei politycznych. Decyduje o tym nie tylko nowy kształt komunikacji, ale także możliwość ubrania danej idei politycznej w formy dotychczas nieznane mogące determinować treść. Dokonało się to za sprawą nie zawsze uświadomionego faktu, że Internet zespolił inne formy przekazu, takie jak książka, prasa, film, radio czy telewizja, naruszając częstokroć ich dotychczasową autonomię. Wpłynęło to moim zdaniem zasadniczo na krąg odbiorców określonych treści ideowych. Łatwiej i bez wysiłku przyswajalne są treści przekazywane w formie „obrazkowej”, ciekawsza staje się dyskusja prowadzona na forach, w których każdy zainteresowany może zabrać głos jawnie lub anonimowo, wreszcie lepiej i szybciej można śledzić wszelkie nowości przekazywane przez inne media z ich ograniczeniami czasowymi lub wysiłkiem, jaki trzeba włożyć, by na przykład kupić gazetę, pójść do kina czy nawet włączyć telewizor. Łatwiej w końcu przekazać swoje poglądy innym oraz wszystko to, co przychodzi nam do głowy, a co niekoniecznie jest myśleniem – jak stwierdził to niedawno jeden z naszych polityków. W tym więc wymiarze Internet wyraźnie sprzyja przyspieszeniu „krążenia idei” i ich upowszechnianiu.

Drugą z możliwości spojrzenia już nie na formę, lecz treści niesione przez sieć, staje się zagadnienie, na ile Internet sam w swej istocie może być źródłem powstania nowych idei czy doktryn politycznych. Nowych w tym sensie, że nie generuje on kolejnych mutacji ideologii tradycyjnych lub ich poszczególnych składników; nowych w sensie zadawania fundamentalnych, a dotychczas nieznanych pytań lub prób udzielenia nowych odpowiedzi na pytania zadawane przez myślicieli minionych wieków. I to jest problem, którego nie staram się nawet rozstrzygnąć, bo byłaby to jedynie kolejna ryzykowna prognoza przyszłości.

Zmierzając do jakiejś konkluzji, pragnę jedynie stwierdzić, że pominięty został tu długi szereg doktryn i koncepcji o charakterze alterglobalistycznym z ideami ekologicznymi na czele czy też ideami i ruchami związanymi ze studiami *gender* etc. Wszystkie one mają stopniowo wymiar światowy i zasługują na swoje miejsce w ewentualnych kolejnych systematyzacjach. Co do samej idei tworzenia takowych, żywię nieco sprzeczne przekonania, albowiem z pewnością istnieje potrzeba ich powstawania nawet tylko w wymiarze dydaktycznym, z drugiej jednak strony stopień komplikacji i brak dystansu czasowego stawia pod znakiem zapytania ich trwałość i rzeczywistą wartość na przestrzeni nawet kilku najbliższych lat.